

STRACH

Na odejście Papuszy



Kto nie lubi kobiet?

SCENY miłosne

CZYTELNIA

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 630

nadodrze

ZIELONA GÓRA
ROK XXXI NR 5 [636]

8 III — 21 III 1987 R.
CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

TEN KOCHANY TEATR

Halina Ańska

W korytarzu zrywanie klepek, w bufecie bigos, w szatni Henio Mikołajczak. Czwartek dziewiętnasty dzień lutego 1987 roku.

Z korytarza zrywanie klepek przeniesie się dalej — i posłuchajmy tzw. ciągów komunikacyjnych przez foyer, widownię i dużą scenę, aż do końca. Co się stało? Pech! Ten teatr, proszę państwa, ma pecha! Nie dość, że co rusz zmienia się dyrekcja, to jeszcze zmienili się przepisy przeciwpożarowe i wszyscy stko to, co nazywa się „wystrojem wnętrza”, teraz, w parę lat po tym, jak zostało założone, trzeba zrywać, zdierać, zeszkrobywać!

Drzazgi! leć z podłóg i ścian oraz z móżgu nowej dyrekcji. Bo jeśli teatrowi temu czegoś brakuje, to przede wszystkim aktorów i nowa dyrekcja, jeśli o czymś marzy, to przede wszystkim o skompletowaniu dobrego zespołu. Niech no tylko śniegi stopnieją, odgrząza się, a zaraz pomknij w Polskę, by rozejrzeć się wśród tegorocznych absolwentów.

Tylko który aktor zgodzi się przyjść do teatru, gdzie nieczynna będzie scena dramatu? W tym teatrze będzie nieczynna! Zrywanie klepek z drewna i zakłada nie w to miejsce klepek z tworzywa od pornego na ogień, potrwa... No, jak długo może potrwać taka robota w Zielonej Górze, gdzie dom handlowy budowa no lat piętnaście, a teatr, w niedalekiej przeszłości, remontowano lat siedem? Doprawdy, trzeba będzie dobrze pilnować klepek, zwłaszcza tej piątej...

Jest powiedzonko, nie wiem z jakiego przedstawienia: „My artyści, nasze miejsce w bufecie”. Dziś miejsce artystów jest na próbach, na dużej scenie „Antygony” i na małej „Szpiega bałkańskiego”. A w bufecie pusto i pachnie kapustą. Rym nie zamierzony, a zapach nie jest zarzutem, bo wiadomo, że bufety za kładowe nikogo nie rozpieszczają.

Z portretów patrzący pytająco oczy seniorów zielonogórskiej sceny — Stanisława Cynarskiego i Haliny Lubicz: ech, gdzie wy, niedysyjsze pomysły, przyjaźnie, plotki i nastroje? Czy kiedyś powróciacie?

Siadywali tu pod ścianą, ramie w ramie, czasem przy jednej wódeczce i jednej kawie, aktor z dziennikarzem, plastyk, muzyk, i poeta, na spontanicznych próbach integracji środowiska: twórczych Zielonej Góry. Wstępowali bo było po drodze — z „Nadodrza” do „Gazety Lubuskiej”, z Radia, Filharmonii i LTM — do Muzeum, Szkoły Muzycznej, BWA.

Odbili się w tej sali co najmniej dwie próby integracji, organizowane, szalenie poważne, z udziałem władz. Pamiętam, że jednej przewodniczył artysta plastyk Józef Burlewicz, drugiej ówczesny szef RSW znany mi skądinąd Marian Skarbek. Wybieraliśmy grupy inicjatywne, pisaliśmy uchwały i postulały. Ale do powstania klubu twórców nie doszło. No i wywiało wszystko z tej sali, z innych także.

Zajęte są, dziś tylko trzy stoliki. Przy jednym Miłosz Roszkowski — 24 lata pracy na scenie lalkowej, czyta gazetę. Przy drugim Zdzisław Grudzień — 28 lat pracy na scenie dramatu, odwijają z papieru kanapkę, nie dowierając jak widac firmowym bigosom. Przy stoliku trzecim siedzą w trójkę: Sigrid Siewior zwana Samantą, Jurek Bechynie i ja. Samanta zapala papierosa w przerwie „Szpiega”. Jurek opowiada jak robił muzykę do „Antygony”, ja słucham i rozglądam się.

W szatni przywarował Henio, jakby pilnował tych paru płaszczy. Twarz jego wyraża niechęć do brzytwy bądź maszynki. A może Henio znów nie goli się celowo, jak kiedyś, gdy przygotowywał

się do roli Starożytności w „Warszawiance”? Obmyślał wtedy swoją wielką scenę, po sto razy demonstrując każdemu jak wejdzie, zrobi parę kroków, po tem ruch ręką i w tył zwrot. Miałoby być bardzo dramatyczne i z pewnością byłoby, gdyby rola Starożytności nie przypadła komuś innemu. Henio długo przeżywał rozczarowanie. Jest jak lustro. Spójrzeć i już się wie, jakie czasy. Dobrze czy źle, dla tego teatru.

Na Henia, płaszcze i rozryta podłoga spogląda zza szyby Jadzia Miller. O ile Henio czyli Hieronim Mikołajczak wysiaduje w szatni z nieprzymuszonej woli, bowiem w tym teatrze jest od 26 lat nie szatniarzem, lecz inspicjentem, to pani Jadzia, dawniejsza sekretarka, występuje teraz w portierni półości, na zmianę z Marią Myszkową i jeszcze z kimś. W cyрку jest podobnie. Akrobaci po zejściu ze światła rampy, też chcą pozostawać blisko areny.

„Tak jest, istny cyrk robi nowa dyrekcja! Tylko proszę bez nazwiska. Niech mnie pani nazwie, powiedzmy, El Cztery”. „I El Cztery nadaje, że nowa dyrekcja obcina fuchy, nie chce płacić nadliczbowych, jak sknera liczy wyjazdówki, ścisła delegacje i goni do roboty, jak by to nie teatr był i nie cyrk nawet, tylko piekarnia... „Czy ja tu muszę być, czy ja z teatrem brałem ślub?”

„Śluby panińskie” były na scenie dramatu, na małej „Wyssane z palca”, i w próbach „Moralność pani Dulskiej”, gdy nagle, w środku sezonu, stała nowa dyrekcja. Dokładnie 1 kwietnia 1986 roku przyjechał dyrektor artystyczny Krzysztof Rotnicki. W teatrach przechowują się po kątach rozmaite przysady, więc mówiono mu: „Prima Aprilis, nie jedź tam, bo się omylisz”. Mimo to przyjechał, ale dziś jeszcze nie wie, czy była to omyłka czy też nie.

W dwa tygodnie później przyjechał dyrektor naczelny Marek Górski. Zesłali się znów ekonomista i artysta, razem w duecie, mają za sobą kilkuletnią wspólną pracę w Teatrze Baletowym w Koszalinie. I zaczęli się nowe rządy.

Dyrektor Misiak w kabarecie Olgi Lipińskiej mawia: „Nie ma sytuacji”. Tu sytuacja była. Bo kiedy stara dyrekcja zaczynała pakować walizki, nad teatrem zawisła chmura. Ludzie mówili, że zanosi się na burzę. Ale przysłówie uczy, że czasem z dużej chmury... Tak właśnie się stało. Stara dyrekcja spakowała wszystko dokładnie, zostawiła tylko płamy na honorze. I spokojnie, nawet nie zagrzmiło. „Może to i dobrze”, rozumuje El Cztery, „po cholere teatrówi, który ledwo dycha, taka reklama?”

Obeszło się bez burzy, ale do dziś leje. Nie deszcz. Łzy leje nowa dyrekcja, już nie tylko z powodu sytuacji zastanej dziesięć miesięcy temu, ale też na myśl o jeszcze czekającej perturbacji — organizacyjnych, finansowych, kadrowych, artystycznych, mieszkaniowych, fizycznych, psychicznych i te de. A może ktoś ma pomysł na przedsięwzięcie, które tego pecha raz na zawsze?

Kierował kiedyś tym teatrem Ryszard Zurowski, który uparł się, by z wad czynić cnoty. Wszystko było rozkopane, nie istniała żadna scena, więc premierę robił w fabryce: szkole, stodole, gdzie się dało, duże formy, małe formy, mrodrany, balety, kabarety. „Donosy rzeczywistości”...

Ciąg dalszy na str. 4



Rys. ANDRZEJ GORDON

Legenda sceny

Rozmowa z Markiem Okopińskim

— Okres świetności zielonogórskiego Teatru kojarzy się z nazwiskiem Marka Okopińskiego. Był to naprawdę dobry Teatr, miał ambitny, przyciągający publiczność repertuar, zdobywał nagrody na festiwalach...

— W tym stwierdzeniu zawarta jest zarówno legenda, jak i prawda o scenie zielonogórskiej. Był to na pewno teatr interesujący, chlubący się w pełni artystycznymi dokonaniem. Składał się na to zjawisko talenty aktorskie, wyobraźnia reżyserów, inwencja scenografów i kompozytorów, ale także ogrom pracy tzw. „niewidzialnych”, czyli licznej rzeszy zakulisowych, technicznych pracowników teatru. Z drugiej strony była to sprawa bogatego repertuaru — od klasyki polskiej i światowej, do współczesności reprezentowanej także często przez debiuty.

Legendą tej sceny jest, iż „przyciągała ona widzów i zdobyła sobie publi-

czność”. Graliśmy w Zielonej Górze, poza premierami, dla garstki widzów, a miejscowi snobi mówili, że jeżdżą do teatru do Poznania, tak jak potem poznaniacy wmawiali mi, że jeżdżą do Warszawy. I tu pewien paradoks, a może prawidłowość — potrzebnymi byliśmy w Zaganiu, Wschowie, Nowej Soli, Babińcu, czy Międzyzdrojach. Tam byliśmy witani z radością i zegnani z żalem, a świeżość publiczności pozwalała na silną więź łączącą obie strony rampy, bez której nie ma żywego teatru.

— Które realizacje teatralne z tamtego czasu utkwiły Panu najbardziej w pamięci i dlaczego?

— Naturalnie będę przede wszystkim mówił o twórczości moich kolegów, bo mogłem ją odbierać jako widz. Pamiętam urokliwy spektakl sztuki Rittnera „Człowiek z budki suflera”, czy frapujące znakomitą przekładem Stanisława Hebanowskiego dzieło „Przedziwne

kochanek” Corneilla — po raz pierwszy przyswojone scenie polskiej — oba w reżyserii Marii Straszewskiej. Potem praca Jerzego Hoffmana: debiutanci „Portret” J. P. Gawlika z kreacją Rajmunda Jakubowicza, czy sugestywne „Pożądanie w cieniu wiązów” O’Neilla z niezapomnianym Stanisławem Cynarskim. Ideową „Łażnię” w oparciu o tekst Majakowskiego sprawił nam spektakl Antoniego Tołsty w jego reżyserii i scenografii. Z własnych, największą chyba satysfakcją dała mi praca nad „Zejsiłem aktora” Ghelderode’a, „Wyzwoleniem” Stanisława Wyspiańskiego, no i oczywiście „Ifigenię” Goethego, w której po raz pierwszy tak pełnym blaskiem zaistniał wielki talent Haliny Wiłnarskiej.

— Co decyduje, że spektakl staje się wydarzeniem artystycznym nie tylko na rodzimym scenie, ale także w kraju?

Jest to przede wszystkim kwestia repertuaru. Liczy się więc niebanalny i nieschematyczny oraz agresywny wybór, kontrastujący układ programowy. Wybrane utwory inscenizator musi czytać oczami współczesnego człowieka i

Ciąg dalszy na str. 4

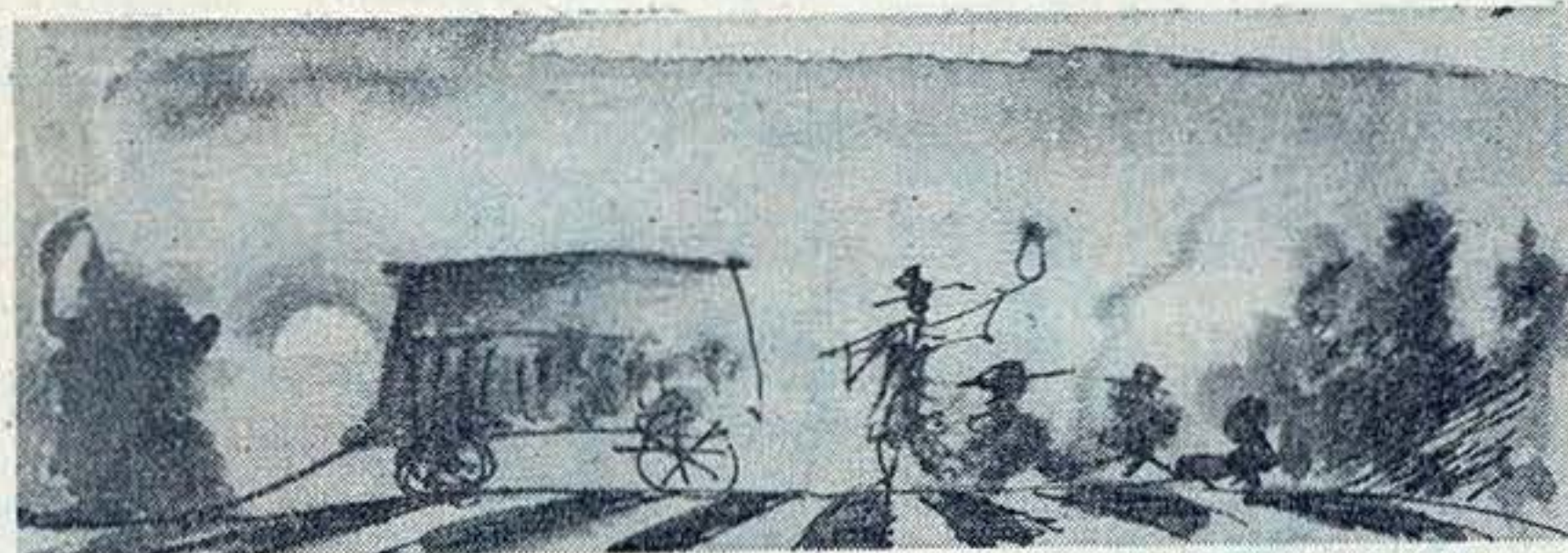
Papusza

Woda, która wędruje

Już dawno przeminęła pora
Cyganów, którzy wędrowali.
A ja ich widzę:
są bystrzy jak woda
mocna, przejrzysta.

Można ją słyszeć
wędrującą,
jak przemówić pragnie.
Ale, biedna, nie zna żadnej mowy
prócz srebrnego pluskania i szumu.

Tylko koń, co na trawie się pasie,
słucha jej i szum rozumie.
Ale woda nie ogląda się za nim,
ucieka, dalej odbiega,
gdzie oczy już jej nie zobaczą,
woda, która wędruje.



Las

Pokochoł mnie las,
dał mi cygańskie słowo.
Wiatr nauczył mnie śpiewać,
rzeka płakać pomogła.
Wszystkie kwiaty leśne
szyją mi spódnice.
Wszystko, co w lesie żyje,
to siostry moje i bracia.
Najmilsze moje lasy
dymy wznoszą pod niebo,
ogniska Boga proszą,
by las nie zajał się ogniem.
Dziś, jutro życie mi się skończy
i w lesie moim zostaną
moje niemądre pieśni.
I zaśpiewa je las
czarny, zielony, czerwony.

Na śladach ognisk grzyby wyrosły

Wśród czarnych lasów grzyby
na śladach ognisk wyrosły,
czarnogłowe jak cyganięta.
Czarni, biedni Cyganie
z czarnych lasów odeszli:
wielkie szczęście porzuciło ich
i w grzybach zostało.
Kto je zbiera, ten wspomni Cyganów.

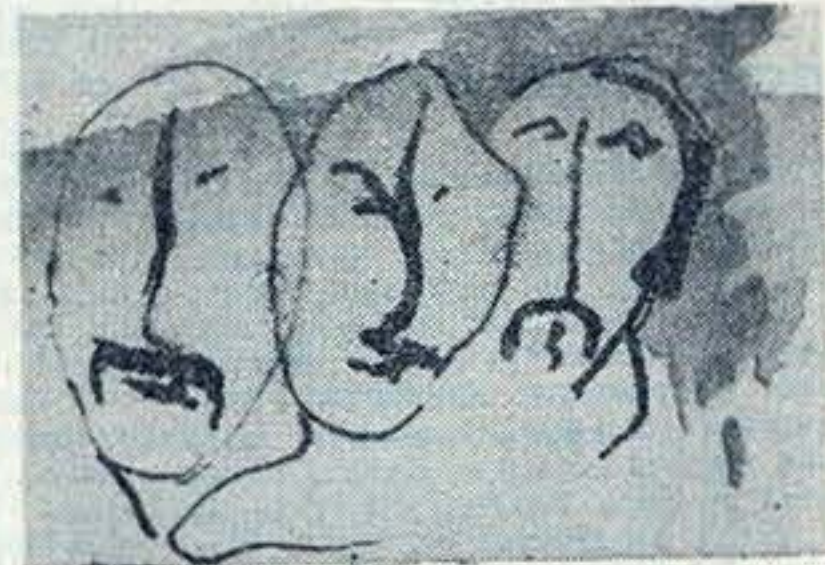
Dziś w domach cyganięta
jak borowiczki rosną,
zapominają o lesie.
Ojcowie, matki tyle lasów
dziś oplakują.
To z ich łez tyle grzybów wyrosło.

Na wszystko pada złoty liść
niesiony przez wiatry —
taki drogowy, co prowadzi
we wszystkie strony.
Słońce o grzybach pamięta,
przy każdym pniu je ogrzewa,
a ktoś je zbiera i niesie.
Biedny grzybek, umrzeć mu przyszło,
a tak chciał zostać w lesie!

Jaskółka

Ulepiła jaskółka
pod moim oknem gniazdo,
jaskółka czarna
jak Cyganeczka.

Wskazywała nam dobre drogi.
Zamieszkała w stajniach i domach,
Zginęła w bagnach.



(Wiersze pochodzą z tomu „Pieśni mówione”, wydane przez łódzką oficynę w 1973 r. Wyboru dokonał, z języka cygańskiego przetłumaczył i wstępem opatrzył Jerzy Ficowski)

Rysunki LESZEK HERMANOWICZ

NA ODEJŚCIE PAPUSZY

Zenon Łukaszewicz

8 LUTEGO BR. W WIEKU OK. 77 LAT
NIE JEST ZNANA DOKŁADNA DATA
JEJ URODZIN W TABORZE CYGAN-
SKIM — ZMARŁA W INOWROCŁAW-
WU BRONISŁAWA WAJS, ZWANA
PAPUSZA, CO W PRZEKŁADZIE
POLSKIM ZNACZY LALKA. Tak ją
kiedyś przewalali jej ziomkowie ze
względem na delikatną i subtelną urodę,
na wdzięk. Ale przecież nie to zawazy-
ło, iż stała się sławną, że jej życie po-
toczyło się wyjątkowo dramatycznie, że
wzbudziła zainteresowanie, w tym tak
wybitnych poetów jak Julian Tuwim,
Julian Przybóś a przede wszystkim —
Jerzy Ficowski. Jej odkrywca i propa-
gator jej twórczości, redaktor dwóch
wydanych tomików „Pieśni” Papuszy:
„Ossolineum” 1956 r.) i „Pieśni mówio-
nych” (Wyd. Łódzkie 1973 r.), cygano-
log i autor zbiorów szkiców, poświęco-
nych tej egzotycznej już dziś grupie
etnicznej.

Odeszła poetka, która w ostatnich la-
tach swego życia już milczała, schoro-
wana i zmęczona tym wszystkim, co
musiała przeżyć, doznać od ludzi, co
raniło jej tkliwą wrażliwość i sprowa-
dzało na drogi rozpacz, zwątpienia,
nostalgii. Pozostało wspomnienie o tej
samotnej utalentowanej poetce, ale
przede wszystkim — pozostały jej pięk-
ne, pełne prostoty i wdzięku wiersze —
pieśni, tworzone podczas wędrowek z
taborami cygańskimi lub też później,
już w gorzkim mieszkaniu, gdzie
Papusza od 1953 roku rozpoczęła swój
najdłuższy osiadły tryb życia.

Pochodziła z etnicznej grupy polskich
nizinnych Cyganów, z rodziny wielce
utalentowanej. Była spokrewniona z
założycielami zespołu „Terno”, której
gwiazdą była słynna Randia. Mąż poet-
ki, Dionizy Wajs, grał na harfie i
skrzypcach. A w niej samej zrodziła
się nieposkromiona potrzeba wyrażania
swych przeżyć i opisywania przyrody,
powstał spontaniczny wewnętrzny, z
potrzeby serca, imperatyw układania
nieregularnych strof, które są i do śpie-
wania, i do mówienia, i do wzruszają-
cej lektury. Do polskiej poezji ludowej
wniosła własny, oryginalny ton, ewo-
kujący autentyczne, bezpośrednie do-
znania i przeżycia, przekazujący refleks
sje o życiu i naturze za pomocą pięk-
nych, niewyszukanych metafor i obra-
zów. Twórczość Papuszy — to samoro-
dne, bezprecedensowe zjawisko w kultu-
rze europejskiej. Od kilku stuleci nie
jest znany fakt twórczości literackiej,
uprawianej przez kogokolwiek w ma-
cierzystym języku cygańskim. Dlatego
właśnie odkrycie Papuszy stało się tak
ważnym wydarzeniem społeczno-lite-
rackim.

Anna Kamińska, sama wybitna poet-
ka, w „Pieśni” Papuszy do opracowania przez
siebie zbioru pieśni ludów tak oto pi-
sała: „Ludowa, jakby sprawdzona przez
wielu pieśniarzy jest trafność i oczy-
wistość porównań i epitetów w najlep-
szych pieśniach Papuszy. Ale już nie
ludowa a własna, indywidualna jest
wartość emocjonalna tych pieśni, spra-
wionych w innym już sensie najdo-

stawionej życiem Papuszy, jej trudami,
głódami, ucieczkami, jej losem jako ko-
biety... Pieśń cygańska jest utworem w
całości udanym, ułożonym jakby na
jednym oddechu, na jednym szluchu
miłości do życia, które odchodzi”.
Ma rację Anna Kamińska. Twórczość
Papuszy wyrosła z podglebia jej świa-
domości, z naturalnej potrzeby wyobra-
zi, tak bogato obdarzonej przez los.
Jej życie utożsamiało się jak rzadko kie-
dyś tak bardzo z całością z tym, co wy-
rażała swym nieporadnym piśmem, nio-
sącym wszakże precyzję myśli i obrazo-
wania.

Gdy w 1958 roku, po przyznaniu
poetce Lubuskiej Nagrody Kulturalnej,
wraz z inż. Gertrudą Przybylską ze
„Stilonu”, zaopatrzeni w bukiet kwia-
tów, odwiedziłyśmy Papuszę w jej no-
wym gorzkim mieszkaniu przy ul.
Kosynierów Gdynskich — poznałem
skromną i prostą, serdeczną kobietę, o
przemijającej urodzie, lecz nadal peł-
ną wdzięku, op. iadącą lirycznie o
swym życiu, radościach i smutkach w
sposób naturalny i taki, jakby dale-
ką poetkę pejzaż... Taki potrafiła
właśnie wytworzyć nastrój, rozświe-
ając wokół ziarna poezji. Emanowała
poezją, sama była poezją. Cieszyła się
z przyznanej nagrody i pieniędzy które
jej się bardzo przydały, których przez
całe życie ciągle jej brakowało.

Jerzy Ficowski, który wędrował wraz
z nią w taborze cygańskim i przebywał
na koczowiskach, w swej ostatnio wy-
danej wspomnieniowej książce „Demony
cudzego strachu”, wiele miejsca poświę-
ca Papuszy: Przytacza nawet legendar-
ne opowieści samych Cyganów, jak to
znalazł się wśród nich: „Przybłąkał się
raz do leśnego obozowiska biedny chłop-
czyzna, bezdomny sierota. Mówił, że nie
ma nikogo na świecie i że pojechałby z
nami, gdybyśmy go chcieli wziąć ze so-
bą. Cyganie mają dobre serce, ale tro-
chę się zaczęli naradzać — co zrobić, bo
nie chcieli, żeby ich kto oskarżył o
porwanie dzieci, jak to Obcy często
gadają o nas. Naradzili się i przygarne-
li młodzieńczego Ficowskiego. Bodażby
pomyśleli dłużej i lepiej, a kazali mu
iść w swoją stronę — toby ich nie
jedną bieda ominęła! Ale skąd mogli
wiedzieć? Przyjęli chłopczyka na ko-
niucha, co tam — pomyśleli, chłopiec
podobny do Cygana, nikt się nie będzie
czepiał, że nie nasz... Umiał czytać i
pisać, był już trochę uczony w szko-
łach, więc się przydał do pisania li-
stów, a i czytał głośno różne ciekawo-
ści w gazecie, czy na książce. Nauczył
się Ficowski po trochu cygańskiej mo-
wy i może by i dalej dobrze było, ale
się zakochał...”. I tu następuje dalsza
opowieść, jak to Ficowski „upatrzył so-
bie Papuszę”, w niej się zakochał i por-
wał ją, poczem następnie porzucił.
„W swoich książkach o nas skorzystał
z tego, żeśmy mu gupio pozwolili pod-
patrzeć nasze życie od środka. To jego
wisanie przynosi Cyganom wielki smu-
tek, bo odkrywa wszystkie nasze sekre-
ty. Co ma być ukryte, musi zostać w
ukryciu, bo inaczej niczego nie docze-
kamy, tylko własnego końca. Papusza

też zawiniła. Na jednym konarze po-
wiesiłoby oboje: Ficowskiego na jednej
gałęzi, Papuszę na drugiej i niechby
sobie tak dyndali.”

Tak wygląda legenda. Tymczasem Fi-
cowski dostał się do taboru cygańskie-
go dzięki Edwardowi Czarneckiemu,
„Cyganowi honoris causa”, mającemu
wielkie wśród nich poważanie, i pew-
nego razu on mu właśnie wskazał: —
To jest Bronka Wajsowa, żona tego
starego z siwym wąsem, wołają ją Pa-
pusza, ona sama układa pieśni cygań-
skie, poetka! — Drobna to była Cyga-
neczka, o szczupłej, dziewczęcej figurce,
wesół błyszczących oczach i bardzo
smutnym uśmiechu. Na jej policzku,
ciemnym jak lico Panny Częstochow-
skiej, widniała, podobnie jak na obrazie
jasnogórskim, skośna blizna — od na-
sady nosa, biegnąca przez policzek, aż
do szczęki. Od pana Edwarda dowie-
działem się, że kiedyś napiętnował ją
tak ktoś ostrym narzędziem, podejrze-
wując młodzieńską Papuszę o zdradę...
(...) Nie pisała wierszy. Pan Edward po-
wiedział mi, że Papusza improwizuje
sobie przy muzyce, a potem zapomina.
Szkoda, pomyślałem, ale pan Edward
poradził mi, żebym namówił Papuszę
do zapisywania pieśni, bo umie pisać,
sama się tej sztuki nauczyła w dzie-
ciństwie.”

I tak zaczęła się literacka przygoda
prostej Cyganki przezwanej Papuszą.
Zawiązał się bliski kontakt pomiędzy
nią i Ficowskim, który otrzymywał od
niej wiersze i przekładał na język pol-
ski. Zainteresował również nim Juliana
Tuwima, który w 1951 roku tak pisał
do Papuszy: „Trudno mi Pani powie-
dzieć, z jaką radością czytałem te świe-
że, żarliwe, serdeczne słowa. (...) Tym-
czasem najusilniej namawiam Panią do
dalszego pisania wierszy...”. A rok póź-
niej pisał min.: „Niech Pani dalej pi-
szę — i zawsze właśnie takie proste, z
serca Cyganki płynące wiersze! Gdy się
ich jeszcze trochę zbiera, wydamy to
w książeczce (po cygańsku, z polskim
przekładem). Będzie to pierwszy na zie-
mi polskiej druk cygański, więc swego
rodzaju historyczna książka.”

Zyczenia poety spełniły się w 1956
roku, gdy ukazały się „Pieśni Papuszy”
 („Papuszka gila”) w wiersi dwujęzycz-
nej: cygańskiej i polskiej. Przekład i
wybór oraz opracowanie autorstwa Je-
rzeja Ficowskiego.

Julian Przybóś, witając entuzjastycz-
nie poezjowanie cygańskiej poetki pi-
sał, że jest to „niezwykły dokument
poezji pierwotnie prostej, poezji nie od-
łączonej jeszcze od karmiącej pierś cy-
gańskiej poezji ludowej. (...) Utwory Pa-
puszy są zjawiskiem na naszych zie-
miach niezwykłym nie tylko z tego
względem, że objawiają one pierwszą poe-
tkę cygańską. Przedstawiają rzadki przy-
kład poezji pierwotnej, autentycznie
samotnej. (...) „Pieśń” Papuszy —
najładniejsza i, być może najbliższa du-
chowi cygańskiej pieśni ludowej, a bę-
dąca czymś w rodzaju „Elegii monu-
mentum” Cyganki. Wyznam rzecz może
śmieszna: myśl w tej pieśni zawarta
wydaje mi się głębsza i szlachetniejsza
niż dumny testament horacjanowski”.



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Tymczasem, osobiste życie poetki
układało się dramatycznie. Oskarżona
przez ziomków o zdradę ich sekret-
nych obyczajów, musi opuścić tabor,
ukrywa się przez pewien czas w Zaga-
niu, aby w końcu przenieść się do Go-
rzowa. Ciężko przeżywa dramat rozsta-
nia z lasem, tabor, wspólnotą cygań-
ską, wesół kiedyś wędrującą po róż-
nych traktach i leśnych duktach. Potem
jej stan psychiczny ulega pogorszeniu:
umiera mąż, syn wyjeżdża w nieznaną
stronę. Milknie. Dopiero po kilku la-
tach depresji powraca do swojej muzy-
ki i w 1973 roku ukazuje się jej „Pieśni
mówione” w opracowaniu Jerzego Fi-
cowskiego. We wstępie pisze on:
„Zarówno niżej podpisany, jak i inni
przyjaciele poetki i jej twórczości nie
mieli złudzeń, że po tragicznym zamik-
nięciu, zniszczeniu rękopisów, ciężkiej
chorobie, nigdy już nie powróci Papusza
do pisania. Powiedziała przecież: „Gdy
bym się nie nauczyła czytać i pisać, ja

głupia byłabym dzisiaj szczęśliwa”.
Papusza rediviva, jej powrót do twór-
czości w 1970 roku — to wydarzenie ty-
leż radosne, co najzupełniej nieoczeki-
wane”.

Był to jednak powrót krótkotrwały.
Osamotniona, wyjeżdża do krewnych w
Inowrocławiu, aby tam dożyć swoich
dni. Miała wielu przyjaciół, należała do
ZLP od 1962 r., będąc członkinią zielo-
nogórskiego oddziału. W 1978 roku
otrzymała Nagrodę Ministra Kultury i
Sztuki. Zyciowie pomagali jej w róż-
nych tarapatach życiowych literaci zielo-
nogórscy: Tadeusz Kajjan, Janusz Ko-
niusz, Zdzisław Morawski ostatnio —
już w Inowrocławiu odwiedzał ją ów-
czesny prezes oddziału ZLP Zbigniew
Rynda, troszcząc się o warunki mies-
kaniowe poetki.

Odeszła w smugę cienia, lecz blask jej
poezji pozostał na trwałe w naszej świa-
domości.

